1847. Nr 28. d. 1 Października ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

OPOWIADANIE FARYSA,

(Dokończenie.)

II.

Cudne są, cudne kwiaty na Wschodzie
W całym uroku wdzięków, świeżości;
Słodko w tym żywych roślin ogrodzie
Tyle przecudnych widzieć piękności.
I jam też widział, wzdychając czule
Do tych zaklętych dziewic haremu;
Ale nie zrówna żadna z Zulemą,
Sam Sułtan nie ma takiéj w Stambule.

Piękne są, piękne Cypru dziewice,
Z brylantowemi wianki na skroni,
Wdzięczna ich postać i cudne lice,
A włos uroczéj pełen jest woni.
Piękne są brzegów Nilu mieszkanki,
Świeże jak róże w wiosny poranki;

I w Kandaharze, w Katajskich gajach,
I w oddalonych na Wschodzie krajach
Młode z wielkiemi oczmi Czerkaski,
I z Kaszemiru wonnéj doliny,
Których wzrok łudzi takiemi blaski
Nas prawowiernych synów Allaha.—
Lecz nie ma takiéj cudnéj krzewiny,
Nawet w ogrodzie u Padiszacha.
Żadna z piękności Wschodu, Zachodu,
Ni wdziękiem lica, ni blaskiem oka,
Nie może z Zulmą równać się młodą,
To ukochane dziecie Proroka!
Allah nań wszystkie piękności dary
Rozlał, i prawie rozlał bez miary.
Komuż się, komu kwiat ten dostanie?
Tylu Farysów wyciąga dłonie;
Lecz próżne chęci, dzikie żądanie,
Prędzejby kwitnął w śniegów wazonie,
Niźli przy wrzącém Araba łonie.—
Matka Zulemy — dziecie Zachodu,
W serce dziewicy wlała zasady
Innéj niż ich jest wiara, i z młodu
Uczyła wierzyć od nich inaczéj;
Prędzéj więc dzikie pustyni gady
Dotkną jéj piersi, niż ona raczy
Welon, co kryje przecudne lica
Dzikim pustyni synom odsłonić,
Tak chrześciańska nigdy dziewica
Nie będzie sercem Araba gonić.

Jéj młodość ciekła rozkoszy zdrojem,
Śród kwiatów, ptaszął, w zabawce z niemi,
I z niewzruszonym dotąd pokojem,
Bo téż to anioł nie z téj był ziemi.
Lecz czemuż teraz smutek w jéj łonie,
I uśmiech z bladych ustek ulata?
Nieraz w samotnych dumaniach tonie,
Tajemna boleść pierś jéj przygniata,
Jasne jéj oczy smutkiem przyćmione,
I łza z pod ciemnych źrenic jéj świeci,

Wzdycha ku niebu;—ach! czyż w tę stronę
Z tchnieniem jéj piękna dusza uleci?
Inaczéj było w sercu jéj—w głowie;
Lecz któż przyczynę smutku odgadnie,
Kto jéj tęsknotę, boleść wypowie,
Co dzisiaj w sercu osiadła na dnie?—
Gdy miłość serce dziewicy wzruszy,
Inne się dla niéj otwiera życie:
Ileż się westchnień wyrwie z jéj duszy,
Ile łez z oczu wypłynie skrycie,
I wiele modlitw pośle do Boga,
Nim jéj spokojność powróci błoga.—

Jeszcze Huragan dotąd dziewicy
Nie widział tylko z twarzą zakrytą.
O! gdyby widział——w jasnéj źrenicy
Byłby wyczytał boleść wyrytą,
Czytałby miłość, któréj połowa
Mogłaby starczyć na całe życie,
Bo tak Zulemie płonęła głowa,
Bo już młodzieńca kochała skrycie.
I raz w namiocie ojca—dziewica
Przy Huraganie odkryła lica.
Młodzieniec widział łzy z ocz płynące,
Cicho jéj usta wyrzekły drżące
Słowa miłości.— Lecz czyż w téj chwili
Śród boskich czarów nowéj miłości,
Mógł on zapomnieć drogiéj mu Lilli,
Wyrzec się świętych wspomnień przeszłości?
Zulema teraz gorzkie łzy leje,
Ukrywa boleść na ojca łonie,
Cierpi, bo kocha; serce jéj płonie;
Trawi się w sobie, bo gdzież nadzieje?
Gdy ten, coby ją pocieszyć umiał
Nie pojął uczuć i niezrozumiał.
Płacze, że jemu miłość odkryła.
Lecz Szejk choć córka drogą mu była,
Mało uważał na łzy dziecięcia,
I dawne swoje wtórząc zaklęcia,
Przysiągł na straszne cienie Eblisa,

Że duszy córki swojéj nie zgubi; —
Że ona będzie żoną Farysa,
I z pokolenia męża poślubi.

Tak biegły chwile jedna po drugiéj,
Biegły niezmiennie w ciągłych pragnieniach,
W jakichś rojeniach, snach i marzeniach,
W jakiejś tęsknocie tajemnéj, długiéj,
I w łzach ronionych przed ojcem skrycie.—
O, nie z tém dawniéj marzeniem żyła,
Jak piękna wiosna biegło jéj życie,
Teraz się nawet twarz jéj zmieniła,
Zbladła, zsmutniała;—próżne łez zdroje,
Dawny jéj pokój serca nie wróci:
Huragan w stepy pognał na boje,
Dziewica sercem po nim się smuci.
Ją teraz więcéj trwoży los jego,
Niźli los ojca i pokolenia,
Bo nieraz we śnie widzi miłego,
A straszne są te senne widzenia.
Widzi go pośród braci Farysów,
Jak karawany po piaskach goni,
Albo po stepie ściga tygrysów,
Jak walczy z niemi... I już łzy roni,
Że on w tym boju mógłby sam zginąć,
Mógłby niewrócić, lub drogi minąć,
Któremi jeżdżą oni, i płacze,
Mówiąc: „już więcéj go nie zobaczę!"

Ale Huragan nie tęskni wtedy,
Bo jemu ciężу to nędzne życie;
I gdy posłyszy tygrysów wycie,
Sam on rozpędza wściekłe czeredy.
Gdy karawanę w stepie zobaczy,
Rozpuszcza konia, i Lilli woła;
Lecz jéj tam nie ma, — a step dokoła,
A on na stepie jeden, w rozpaczy,
I przy nim tylko Farysów grono.
On to był olbrzym pomiędzy niemi
Duszą i sercem; gorące łono

Studził o piersi stepowéj ziemi;—
Lecz i tam nowy ogień znajdywał.
Wtedy mu serce rozpacz szarpała,
Chwytał za sztylet, miecza dobywał,
A wielka dusza jego mężniała
Śród boju, w krwawéj walce z tygrysem,
Albo z sroższemi ludźmi nad niego.
Oni go zwali bratem Farysem,
Nie było męża jak on drugiego.
Uczył ich, śpiewał;—oni słuchali,
Duch ich olbrzymiał przy pieśni dźwięku,
I przez step życia pięli się daléj
Z nadzieją w sercu, z sztyletem w ręku.
Szeik go synem swoim nazywał,
A bracia zwali wieszczem—Farysem!
Nieraz usiadłszy gdzie pod cyprysem,
Śród głuchych stepów pieśń swoją śpiewał;
Choć nikt jéj z ludzi pojąć nie umiał,
Step czulszy od nich—step go zrozumiał.
Dzisiaj Huragan osłabł na duchu,
Goniąc pamiątki złotéj młodości,
Smutniał jak gdyby lew na łańcuchu,
Nie mogąc dawnéj stłumić miłości.
I nucił smutniéj, nucił ponuro,
Aż łez obfite źródło wytrysło,
Aż mu za czarną przyszłości chmurą
Jasne nadziei światełko błysło;
I nowa wola, i nowe siły
Duch już osłabły znowu wzmocniły.—

Wtenczas to sztylet ręką porywał,
Dosiadał konia,—i w stepy daléj!
A tuman piasku pierś mu nakrywał,
I za nim bracia Farysy gnali,
Szukać tam boju, łupów, zdobyczy.—
Lecz odkąd on im mówił o sławie,
Wyraz ten jakby talizman prawie
Miał na ich serca wpływ tajemniczy.
A chociaż treści słów nie pojęli,

Już ich gorące łona zawrzały,
I coraz daléj w stepy się pięli,
Szukać tam jakiéjś sławy, czy chwały.—
Tak oni jego mieli prorokiem,
Mieli swym bardem, swoim kapłanem,
I końca stepu szukali wzrokiem;
A step był morzem piaskiem powianém,
Po którém oni biedni żeglarze
Błądzili codzień — dotąd bez celu:—
On im cel wskazał, a oni twarze
Zwrócili w niebo — szukając słońca,....
I tak powoli za nim szło wielu,
Ażeby prędzéj dobiedz do końca,—
Huragan pieśni Farysom śpiewał;—
A w pieśni krew swą i uczuć roje,
W dusze gorące Arabów wlewał,
Pragnienia swoje i myśli swoje.

Aż śpiew ten doszedł Zulemy ucha,
I tenże sam miał wdzięk tajemniczy,
Wstrząsnął jéj serce, rozognił ducha,
I wlał weń jakiś zapał dziewiczy,
Aż miłość, ogień, pożar, płomienie
W jakieś tęskliwsze zmienił marzenie.—
Odtąd już pokój nieznany, miły
Wstąpił w jéj serce, i łzy ostatnie
Płynąć przestały.— Uczucia bratnie
Już tylko w sercu Zulemy żyły.
Znów w nie nadzieja wstąpiła błoga,
A duch tęsknotą życia trawiony
Wybiegał w świętych rozkoszy strony,
Tuląc jak dziecie w objęcia Boga.

Raz niespodzianie Szejk w swym namiocie
Nieznalazł córy drogiéj, kochanéj,
Załamał ręce w ciężkiéj zgryzocie,
Upadł na ziemię łzami zalany.
Daremnie usty wzywał Proroka,
Ciężkie mu duszę zakryły chmury,
A step był wielką próżnią dla oka,

Pierwszy raz wielki,—bo nie miał córy!
I już nie pędził w stepy z drugiemi,
Duszą się błąkał pośród cyprysów,
Bo jakież jemu szczęście na ziemi?
On, niegdyś pierwszy pośród Farysów,
Osiwiał laty; dziś próżno dłonią
Za miecz pochwyci, siły go zwiodą,
I koń legł w stepach, a lata gonią,
Wzięły już z sobą wesołość młodą,
I zapał dawny i żądze boju.—
Dziś stary Farys szukał pokoju;
Gdzie śród palm srebrne źródło się toczy,
Siadał i dumał o dawnéj sławie,
I na Wschód zwracał zamglone oczy,
I śnił o przyszłém szczęściu na jawie.
Śnił o rozkoszach, które po skonie
Obiecał Prorok w trudów nagrodę.
Lecz czyż tam ujrzy przy swojém łonie
Zulemę drogą, krwi jego dziecię?
I płacząc, z żalu siwą darł brodę,
Bo ona w innym mieszkać ma świecie,
Bo raj wybranych tylko pomieści.
Tam jéj być Prok na wieki wzbronił.
I znów rozpaczał w ciężkiéj boleści,
I stary Farys gorzkie łzy ronił.

Aż raz znaleźli starca u źródła,
Klęczał do Wschodu twarzą zwrócony,
Twarz jego blada, pierś już ochłodła,
Z ramion powiewał włos rozpuszczony
Siwy, jak siwe mchy na kamieniu.
Serce zastygło w piersi na wieki,
I tylko lekko drżące powieki
Znać dały, że spał w słodkiém marzeniu,
I że duch jego w innéj krainie
Inne w téj chwili szczęście zobaczy.—

A pokolenie całe w rozpaczy;
Łza niejednemu na lica spłynie,
I nie jednego żal mocny wzruszy;

A potém znowu dosiada konia,
I pędzi w stepów rozległe błonia,
Szukając miejsca błądzić dla duszy.
Tak i Huragan pognał za niemi;
Lecz zbłądził w stepie od nich daleko.
Rzędy skieletów świecą po ziemi,
Po niebie gwiazdy powoli cieką,
Miesiąc z chmur blade pokazał lica,
On pielgrzymowi w stepach przyświéca.

Ale Huragan nie szedł w te ślady,
Gdzie mu jaśniała gwiazda przewodnia,
Bo płomień jakiś światełka blady
Zalśnił, jak nocna w stepach pochodnia.
Huragan za nim szedł coraz daléj.
Tam długim rzędem namioty stoją,
A Beduini w namiotach spali,
Strudzeni w dziennych gonitwach, w boju.
Uwiązał konia, cicho się skrada,
Dopadł namiotu, gdzie światło płonie,
Spojrzał: — tam Lilla klęczała blada,
I miała na krzyż złożone dłonie,
Łzy po jéj licach płynęły strugą,
A przed nią wbity krzyż był na piasku.—
Huragan na nią spoglądał długo,
Widział jéj postać jak na obrazku
Wymalowaną w duszy swéj—w łonie,
Stanął, i drżące wyciągnął dłonie;
A ona klęcząc modli się zcicha,
Jak gdyby przez sen tęskliwie wzdycha,
I jego imie wymawia głosem.—
Huragan dłoń jéj wziął w swoje dłonie,
I główkę ciemnym owianą włosem
Jak wpiérw przed laty złożył na łonie.
Ze snu jéj budzić nie śmie, nie zdoła,
Tylko powtarza miłości słowa;
Lęka się żeby zmiana tak nowa
Zbyt nie wzruszyła jego anioła.
I na swéj piersi główkę jéj składa,
Dzieje swych cierpień przed nią spowiada,

I płacze przed nią; aż sam powoli
W jakieś niebieskie wpada marzenie,
Nawet i serce już mniej go boli,
Tylko na oczy upadły cienie,
I coraz bardziéj sen je przyciska...
I zasnął potém.—Lecz dzień już błyska
Czas wstawać, wkrótce słońce się zbudzi:
Jutrznia na wschodzie świta już blada,
Słychać wrzask dziki, i głosy ludzi,
Sam Selim zbrojny pod namiot wpada,
Gotów do boju, miecz trzyma w dłoni.—
I woła: „Lillo, wstawaj, już pora!
Cóż to śpisz jeszcze, czy jesteś chora?
Czekasz aż mąż ci łoże odsłoni?
Zbójce się wkradli dzisiejszéj nocy.”

I podbiegł Solim do łoża Lilli,
Lecz jakby piorun strzelił w téj chwili,
Nie śmiał postąpić, i nie miał mocy
Znieść wzroku, którym wróg go powitał,
Bo wspomniał przeszłość, bo przyszłość czytał.
I słyszał słowa: „Selim wydzierca!”
Huragan powstał i z mieczem w dłoni
Skoczył ku niemu; stal o stal dzwoni;
To blizko głowy, to blizko serca,
To po nad czołem zwija się, splata,
Lecz żadna jeszcze głowa nie zlata.—

Długo walczyli; Lilla powstała,
I znów upadła na łoże słaba,
Bo Huragana swego ujrzała,
Poznała męża w stroju Araba,
Poznała, kiedy właśnie miał zginąć.
Lecz Allah dodał kobiecie siły.
Porywa sztylet,—cios może minąć,
Może w téj chwili upaść jéj miły:—
Bieży i w pierś go Selima tłoczy.
Selim nie upadł, ale się chwieje,
Omglałe na nią obraca oczy,
I składa dłonie, łez zdroje leje,

Klęka u kolan Lilli i woła,
Woła o litość! — On stepu dziécie!
Huragan zrzucił zawoje z czoła,
I miecz swój cisnął mówiąc: „Selimie
W imieniu Lilli daję ci życie,
Jéj dziękuj, w modłach jéj powtórz imie.
Gdy Allahowi przyjdzie cię sądzić,
Może i tę ci podłość przebaczy.
Lecz ja mam serce, i nie chcę błądzić,
Żyj więc Selimie, a żyj w rozpaczy.
Ja Farys klątwę na ciebie kładę,
Niech pokolenie wygna cię, klnie cię!
Teraz ja z Lillą na stepy jadę,
Błąkać się po tym samotnym świecie,
I szukać śmierci, lub zapomnienia
Srózszego nad me wszystkie cierpienia."

Drżący i zbladły Selim wstał z ziemi,
Złożywszy ręce twarz zakrył niemi,
I kryjąc wściekłość rzekł do młodziana:
„Więc żyć mam z hańbą, gdyś mi dał życie?
Patrz,—oto czara winem nalana,
Jeśliś przebaczył—wypij ją ze mną.—
Przepuść mi! i ja pustyni dziécie;
Próżno chcesz zemsty szukać nademną;
Odwołaj klątwę, na odwołanie
Pijcie — ty Lillo, ty Huraganie."

Nalewa czarę, Farys z niéj pije,
Pije wpierw Lilla jego kochana;
Lecz Selim nie pił, jak wąż się wije,
Tak go straszliwa dolega rana.
Twarz mu zsiniała, pienią się usta,
„Dajcie mi, woła, resztę do picia!"
Biegną, podają; lecz czara pusta,
A Selim upadł we krwi bez życia.
Zaśmiał się tylko i rzekł: „wypiła!
Lillo, w twéj czarze trucizna była;—
A on zostanie, on się pomylił,
Bo tylko czysty napój wychylił;—

Ty umrzesz Lillo, lecz on żyć musi,
Póki go sama rozpacz nie zdusi.
Jego trucizna wolna zabije,
Niech mu wpierw ogień krew z żył wysysa,
Niech woła śmierci—kona—i żyje!—
Patrzcie to zemsta, zemsta Farysa!"

Huragan zadrżał, dosiadł rumaka,
I ścisnął lubą silnie w ramiona,
Ani ich skrzydło dogoni ptaka,
Ani z cięciwy strzała puszczona.—
Koń rozhukany posuwa skoro,
Bo mu brzmi w uszach, „spiesz się mój koniu."
Tuż tuż za niemi Araby gonią.
Ach! nie tak wichry powietrze porą,
Nie tak o brzegi uderza fala,
Jak koń powietrzne warstwy rozcina;
Ale już widać, za niemi zdala
Pędzi Arabów dzika drużyna.
Koń zarżał, zagrzmiał w kopyta, leci,
Lecz cóż to? pożar za niemi świeci,
I lawa ognia jak morze płynie,
Jak straszna fala wrzących płomieni.
Huragan z Lillą za chwilę zginie
Pośród siarczystych ognia strumieni.
Farys dobywa sztylet stalowy,
I kłuje konia, i dzikim wrzaskiem
Bieg w nim podnieca; pożar stepowy
W ślad się za niemi posuwa z trzaskiem,
Jakby chciał objąć razem w ramiona
Dwoje kochanków... Lepiejby było,
Gdyby zginęli i on, i ona,
Wszakby pod jedną spali mogiłą,
A tak samotny w wiecznéj żałobie
Farys zostanie na Lilli grobie!—

„No, daléj koniu! nieś nas w oazy,
Tam szumią źródła, palmy, cyprysy,
Wszakżeś tą drogą biegł tyle razy,
Kiedym w pustyni ścigał tygrysy,

Kiedy za nocną goniłem gwiazdą,
Lub w czasie burzy z wichrem w zawody. —
Daléj mój koniu, dolecim wprzódy
Nim sępy nocne porzucą gniazdo.—
O! śpiesz się koniu, bo przeklnę ciebie,
Bo przeklnę straszną klątwą Farysa,
Allah mą klątwę usłyszy w niebie,
I wstrząśnie w piekle pałac Eblisa!"

Lecz próżna klątwa, bo koń ustawał,
A cień oazy niknął w oddali,
Jéj obraz coraz mniejszy się stawał,
A pożar płynie....—to step się pali!
Już, już kochanków ogień otoczy.....
Lilla ku niebu podniosła dłonie,
I zamykając łzą zlane oczy,
Złożyła główkę na jego łonie.—
W téj chwili płomień buchnął w niebiosy,
Ognistym słupem nad ziemię spłynął,
I porannemi spłukany rosy
Buchnął raz jeszcze i zagasł, zginął;
Tylko dym czarny został na ziemi,
Lecz więcéj gonić nieśmiał za niemi. —

Huragan Lillę objął w ramiona,
I tuląc cisnął do swego łona.
Lecz nagle strasznie zbladła twarz Lilli,
Daremnie słówko wyrzec się sili,
I łzy oblały twarz jéj dziewiczą,
A srogą boleść widać w obliczu.
Patrz Huraganie, czy to ją boli,
Żeś ty ją z długiéj wyrwał niewoli?

„O nie to luby!" Lilla zawoła,
I ściska dłonie męża, kochanka,
A włos jéj ciemny rozlał się z czoła,
I na pierś powiał wietrzyk poranka,
I zwiał ostatnie łzy z jéj źrenicy —
Krew całą siłą na twarz wybiła,
Potém ostygła; serce dziewicy
Bić już przestało,— Lilla nieżyła!

Jak gdyby piorun w pierś jéj uderzył.
Huragan blady budzi ją, cuci,
Myślał, że życie Lilli powróci,
Bo że umarła, jeszcze nie wierzył.—
Allahu, serceś rozdarł mu srogo,
Cios taki mierząc w piersi Farysa;
Tak jemu było przed chwilą błogo,
Teraz na duszę padł cień Eblisa,
Padł cień straszniejszy nieméj boleści.
On objął zimne kochanki dłonie
Cuci ją, woła..... A wiatr szeleści
Głucho po stepach.— Lecz w jego łonie
Była noc bardziéj ponura, głucha.
Przykłada usta do ustek Lilli,
Szuka jéj tchnienia, bicia krwi słucha;
Lecz wszystko jednéj ucichło chwili,
Nawet westchnieniem niewyda życia,
Wszystko umarło—zstygło—zagasło.—

A w stepie słychać tygrysów wycia,
Matka z młodemi sunie na połów:
Już stara daje napaści hasło,
I młode pędzą lotem sokołów
Prosto ku niemu;—koń zarżał, pada,
Wkoło się kupi wściekła gromada,
I szarpie konia-trupa, i leci
Gdzie Farys Lillę w objęciu trzyma.—
O! nie tak w nocy piorun zaświeci,
Jaki blask świeci jego oczyma;
W oku tém cały ogrom rozpaczy!
Sam jeden stoi w pośrodku dziczy,
Ani się nawet bronić nie raczy;
Z ramion mu spływa warkocz dziewiczy,
A czoło Lilli na piersi wsparte
Blade, lecz piękne jak wpierw za życia,
I tylko oczy na wpół otwarte
Patrzą ku niebu.— Ustały wycia!
Dzicz rozszarpała konia, a teraz
Koléj na ludzi!...—Wiecie, że nieraz

Sam wzrok piorunem śmierci uderza ;
Taki Huragan miał wzrok w téj chwili
I wzrok ten wpoił w źrenicę zwierza ,
A stary tygrys próżno się sili
Odwrócić łeb swój, tak go coś trzyma ,
I jego wolę wiąże w łańcuchy ,
Huragan zgromił zwierza oczyma :
Zwinął się , usiadł , wydał jęk głuchy,
Potém się jak pies łasić poczyna
I liże , — potém biegnie , ucieka.—

Już wszystko znikło, dzicz już daleka ,
Huragan szaty Lilli odpina ,
I znowu cuci , i znów jéj woła,
Lecz wzrokiem życia wskrzesić nie zdoła ,
On nim zabija tylko tygrysów.
I poznał Farys, że już nie żyła ,
Poniósł ją daléj, pośród cyprysów
Złożył , gdzie cudna oaza była.
Płacząc kochanki usta całował,
Pił z nich truciznę zbójcy Selima ,
Potém jéj zwłoki w ziemi pochował,
I długo w niebo patrząc oczyma ,
Modlił się za nią do Boga swego ;
Krzyżyk na piasku dla niéj postawił,
Posypał ziemią , pobłogosławił ,
A ona w stepie spała bez niego.—
Poszedł — porzucił stepy i długo
Żył pośród ludzi, znów był ich sługą.—
Żal mu Farysów—tęsknił za niemi,
Bo był samotny, choć żył śród ludzi ,
Wieczny wygnaniec, tułacz na ziemi.

Ależ nie koniec mojéj powieści ,
A wam się bracia może już nudzi?

Raz pośród ciężkich życia boleści
Miałem sen słodki , luby, cudowny,
Któremu w niebie nie będzie równy.

Widziałem step mój, palmy, cyprysy,
Toż samo źródło zkąd niegdyś piłem,
Gdzie ze mną byli bracia Farysy,
I tę oazę, gdzie dawniéj żyłem;—
Ach! oni ku mnie podnosząc dłonie,
Dawnym okrzykiem brata witali,
I na pustyni rozległe błonie
Z sobą mię wiodąc pod ręce brali.
Tam mój koń żywy, mój koń stepowy
Stał pod namiotem wesoł i zdrowy,
Zarżał radośnie.... I ja płakałem;
Ale za chwilę, nic już nie było....
W ciężkiéj boleści gorzkie łzy lałem,
Że mi tak krótko o tém się śniło!
Lecz późniéj jeszcze w nowém marzeniu
Widziałem ducha Lilli przed sobą;
A potém w długiém jak wpierw cierpieniu
Wlokłem dni moje strute żałobą.
Serce się czarnym kirem okryło,
I biegłem śmierci szukać dla siebie,
Bo już mojego nic tu nie było,
Tylko z daleka—za grobem, w niebie!

Lecz cóż to znaczy? mówię o sobie,
Zkądże ów długi ustęp w powieści?
Czy obłąkany umysł w boleści
Żywo się w ciemnym zanurzył grobie,
I wydobywa ztamtąd wspomnienie,
I tworzy jakieś obce postaci?
A gdzież Huragan, czy życie traci,
Goniąc po stepach przeszłości cienie,
Czy grób kochanki łzami oblewa?—
Nie, on to—on to pieśń tę wam śpiewa!
On to zniósł w życiu cierpień tak wiele,
Jakich nikt z ludzi nie zniósłby może,
On to was prosi dziś przyjaciele
O łzę współczucia, grobowe łoże!
Ale z was pewno nikt nie uwierzy,
Że ja tak wiele cierpień przeżyłem?—
O! niech raz jeszcze w pierś mą uderzy

Cios, których w życiu tyle odbiłem,
A powiem wtenczas śpiąc pod mogiłą,
To wszystko tylko długim snem było!

*
* *

Raz: posłuchajcie mego snu końca,
Zbłądziłem pośród ludzi tak wielu,
I dusza moja wiecznie marząca
Biegła daleko—w niebo—bez celu!
I ja uklękłem w świątyni progu,
Modlić, sam nie wiem jakiemu Bogu.
W świątyni dzwony żałobne brzmiały,
Słychać nabożne chrześcian pienia:
Długim szeregiem dziewice stały,
Wszystkie ubrane w czarne odzienia;
I świateł wiele w świątyni płonie.
Ustały dzwony, cisza, a potém
Wszyscy ku niebu podnieśli dłonie,
A strop kościoła połyskał złotem.—
Nagle zagrały wielkie organy,
Wszyscy pokornie schylili czoła;
Obłok kadzideł pod strop kościoła
Rozlał się z srebrnych naczyń wywiany,
A w tym obłoku cudna dziewica
Stała w żałobnéj szacie przedemną,
Jéj skroń zasłoną okryta ciemną,
I strasznie blade były jéj lica.
Włos czarny spływał z ramion dziewicy,
Kapłan stał przy niéj.... nie wiem co daléj....
Potém przynieśli strój zakonnicy,
I czarny welon, potém śpiewali
Jak nad umarłą pieśni żałoby.—

I znikł już sen mój, dawno to było,
Zostały tylko pamiątek groby,
W sercu się na dnie wszystko zamgliło.—
Ale duch Lilli czasem w noc ciemną,
Jako stróż anioł stawał przedemną,
W tym samym stroju, z oczmi łzawemi,

I duch Zulemy w czarnéj zasłonie.
A wtedy one brały me dłonie,
I znów my byli z sobą takiemi
Jak wpiérw za życia; śród duchów żyłem,
I nie raz słodko na jawie śniłem! —

W takich marzeniach dni moje cieką,
Płyną mi smutno, płyną powoli;
Koniec mych cierpień jeszcze daleko,
Kiedyż je Allah skończyć pozwoli?
Kiedyż za tyle srogich katuszy,
Za tyle cierpień pozwoli duszy
Wybiegnąć na to Edeńskie błonie,
Gdzie Prorok dla nas szczęście przyrzeka,
Gdzie znowu zasnę na Lilli łonie,
I gdzie prawdziwy pokój mnie czeka;
Bom tu po drogach cierniowych chodził,
Bom tu pił tylko życia gorycze.—
Kiedyż mi Allah swoje oblicze
Ukaże w blasku bym się odrodził,
I nowém życiem żyjąc bez końca,
Promień w niebieskie zlał się ognisko.
Kiedyż ja Farys, ja dziecie słońca!
Rzucę to brudne płazów siedlisko,
Gdzie ani pełzać zdołam jak gady,
Ani ludzkiemi nie chodzę ślady?.—
I dziś dni moje wiodąc tułacze,
W step chodzę dumać gdzie pod cyprysem,
I już nie tęsknię;—bo czyż zapłacze,
Kto jak ja w życiu raz był Farysem?!

Teodozjusz Krzywicki.

TREŚĆ RZYMU

W PIERWSZYM OKRESIE.

(Dalszy ciąg.)

W czasach oddzielnego istnienia trzech tryb patrycyuszowych, rody zdobywcze, Ramnes, Tities i Luceres, w gminach zawojowanych osiadłe, złożyły arystokracyą miejscową; rody jedno-plemiennych gmin pomocnicze stanowiły izopolitów i do liczby arystokracyi wchodziły. Przedmiot tych rodów i rodzin składał ich klientelę właściwą, która się tworzyła przez przybywanie jednoplemienników, własnych rodów przez dostanie się do obcéj niewoli; albolitéż wypędzenie pozbawionych, a u rodów patrycyuszowych wsparcia i przytułku szukających. Zdanie to o utworzeniu się klienteli opiera się na podaniu o azylum. Wedle twierdzenia źródeł *) schronienie w rodach znajdowali zbiegowie ludów sąsiednich, tak wolni jak i niewolnicy—liber an servus esset. Azylum odpowiada klienteli; a że do rodów miał przystęp tylko jednowiarowy pierwiastek: przeto wyrażenie— *liber an servus esset*—nie może mieć innego znaczenia na to, które mu nadaliśmy. Wprawdzie źródła mówią tylko o azylum gminy saméj, jednakże przy niewyrobieniu stosunków między gminą a rodami, musiało istnieć i azylum rodowe, źródło rodowéj klienteli.

Gminy pierwiastkowe siedmiowzgórza i przyległe, do pewnéj ograniczonéj liczby wzięte, stały się plebejskiemi: przeciwnie gminy więcéj oddalone, podbite, przyjmowały kollonów rzymskich, stały się koloniami. Dawni mieszkańcy w kolonii byli plebejuszami, ale nie Rzymu, lecz rzymskich kolonii. Jeżeli gród inno-plemienny nie chciał się Rzymowi poddać, i uznać jego zwierzchnictwa, wtenczas po jego zdobyciu mury zostawały zburzone, ziemie i własność zabrana, a oszczędzeni mieszkańcy zaprzedani;—jak widzimy z podania o pochodzeniu Serwiusza. Również nieprzyjaciele w boju z bronią w ręku schwytani, stawali się niewolnikami. Taka to jest różnica patrycyuszów, kli-

*) Liv. I, 8.

entów, kolonji i niewolników od właściwego plebsu. Ale podanie o azylum mówi o klienteli publicznéj, o przybywaniu ludzi rozmaitego rodzaju do pospolitéj rzymskiéj, jakież oni ordo składali?—bezwątpienia jeśli byli pierwiastkiem obcym dla pospolitéj, to nie wchodzili do rodów a stanowili klientelę gminy. Podania o zaborach Romulusa, Hostyliusza i Anka Marciusza przekonywają o braniu pod opiekę rzymską gmin poddających się, wysyłających posłów i ofiarujących tron, berło, koronę i inne oznaki władzy, —jak to miało miejsce za Tarkwiniusza Starego i Porsenny.— Przyjęcie ze strony zwycięzcy rodziło pewne między dwoma gminami stosunki: z jednéj strony poddaństwa, a z drugiéj władzy i opieki. Tak więc poddanie się gmin całych jest także rodzajem azylum.

Bogowie poddanéj gminy, upokorzyli się przed bóstwem gminy panującéj, i miejsca im swego ustąpili; bóstwo nabytą gminę łączy ze sobą przez fides;—jeżeli związek ten poddani potargają, to znieważą pana i dla przebłagania stają się ofiarą—sacer esto. Przyjęcie odbywało się przez króla, jako zastępcę bóstwa; ale w początkach kiedy rody w kurye i tryby nie były związane, musiał przyjmować przedstawca rodu; a że stałych rodów w trybie było tylko dziesięć, to one tylko mogły przyjmować w poddaństwo: co zdaje się objaśniać, dla czego dawnych tryb plebejskich było trzydzieści, i dla czego one nosiły nazwę tychże patrycyuszowych rodów. Z tego to powodu trzydzieści tryb plebejskich stanowią trzy oddzielne gruppy, jakoby pospolite, z których każda daje jednego *trybuna z władzą konsularną*—tribuni militum cum consulari potestate. Przeto wyraźnie tryby plebejskie odpowiadają stałym kurulnym—raczéj kuryalnym, rodom; a ich grupy—po dziesięć—trybom patrycyuszowym—Ramnes, Tities i Luceres.

Uważając bezwzględnie pomiędzy klientami i plebejami nie ma różnicy, bo ci i owi stoją pod władzą świętych rodów i noszą ich nazwiska. Inaczéj jednakże przedstawiają się, gdy ich względnie oceniamy: — klienci są to jednostki jednego z patrycyuszami pochodzenia i składają przedmiot rodów; plebejusze są obcego pochodzenia: są to rody, gminy całe, nie z samym patrycyuszowym rodem, a przez ród, z trybą arystokratyczną z pospolitą samą połączeni; słowem klienci są przedmiotem rodów, a plebejusze gminy rzymskiéj. Przeto między temi stanami zachodzi tylko względna różnica; dla tego źródła jednych biorą za drugich, i dla tego z czasem klienci z plebsem się jednoczą. Różnica ta nie jest marna, z niéj różność dziejów tych dwóch stanów wypływa: klienci za jedno trzymają z patrycyuszami; a plebejusze są jednych i drugich przeczeniem; pierwsi są częścią pierwiastku rzymskiego dodatniego, a plebs stanowi stronę pospolitéj ujemną. Klienci bezpośrednio z rodem związani, jako jego przedmiot,

ie mogą działać przeciw rodowi i nie są przez tenże prześladowani. Gdyby i plebs był klientem rodów, i zostawał z niemi przez fides połączony, toby go patrycyusze nie mogli prześladować i dręczyć; nie mogliby przez nexus zamienić w swoich niewolników. Rzeczywiście cóż robiliby w rodzie zaprzedani—nexi additi—gdyby plebs był już przedmiotem rodu? Gens, a późniéj patron, karci klientów jako własne dzieci; ale nie ma ku nim nienawiści; przeciwnie plebejusza uważa za rzecz mogącą się nabyć, uważa za przedmiot sobie szkodliwy i nienawistny. Plebejusz jest to niedowiarek, i wciągnięty do rodu patrycyuszowego, bywa do niego przykuty, i podlejsze od niewolników zajmuje miejsce. Nie łączy go z rodem fides a *nexus*, *obligatio*: dla tego z zaprzedanym plebejuszem obchodzi się patrycyusz jak z ujętym na wojnie wrogiem. Złe to obchodzenie się ma zasadę rozumną, z natury wsobistych rodów płynącą.

Żeby plebs był z rodami patrycyuszowemi przez fides połączony, to nie mógłby gwałtu gwałtem odpierać, i nie byliby na mnogie nadużycia narażeni.

Plebejusze lubo są nieprzyjaciołmi arystokracyi, nigdy jednak nie działają na szkodę pospolitéj rzymskiéj, uważają ją za swoją ojczyznę; a nawet patrycyusze używając ich do wspólnéj obrony, też za ojczyznę ich uznają—adpellare tribunos communem patriam. *) Rzeczywiście Rzym był ojczyzną plebsu naprzód, że tu były niegdyś niepodległe ich gminy; a powtóre dla tego jeszcze, że z pospolitą byli przez duchową spójnię—*fides*—połączeni; stróżem nietykalności téj wiarowéj spójni, były niegdyś rody, a dziś bóstwo gminne i rex toż zastępujący. Szczególne położenie króla rzymskiego objaśnia dla czego arystokracya tak często spójnię świętą naruszała:—Król patron plebejów, nie chce bronić klientów bóstwa swego, bo on jako patrycyusz musi ich w duszy nienawidzieć i mówić ze wstrętem *sordida plebs*. Król rzymski pochodząc z pewnego rodu patrycyuszowego, z niego się nie wydzielił. W momencie wsobistości jest dziedzina substancyi, i różnica w martwéj jedni spoczywająca, zaledwo się poczuwa. Król rzymski nie był jednostką egoistyczną, i być nią nie mógł: inaczéj musiałby się zaprzeć rodu, kuryi, tryby i gminy własnéj; a wydzierając się z ich łona, jak płód przedwcześny zmarniałby. Nawet ostatni król rzymski nie zaprzeczył swego rodu nie zanegował tryby—luceres:—a przeciwnie tryba chciała stać się sama gminą, i względem dawnego stanu rzeczy przybrała położenie ujemne; i dla tego to Luceres zostali poniżeni, a gens Tarkwinia poszła na wygnanie. Król rzymski i ród jego nie wydzielił się z innych rodów, ani rody nie zjednoczyły się w gminę: przeto król występuje jako patrycyusz, i jako

*) Liv. III, 69.

patron plebejów. On w charakterze patrona winien przed bóstwem i pospolitą *niemych* plebejów omawiać, a jako członek świętego rodu, winien się nimi, jako niewiernymi brzydzić: tak więc charakter zastępcy bóstwa stoi w sprzeczności z charakterem członka patrycyuszowego rodu. Postawionemu na dwóch kończynach trudno było znaleść punkt środkowy; ale rex rzymski nie mógł szukać, i nie szukał wcale środka ciężkości: bóstwo rzymskie jak sami Rzymianie, brzydziło się obcym pierwiastkiem, nie zupełnie połączyło się z plebsem przez fides, i spojnia ta była słaba i nieoznaczona. Plebs nie był zupełnym klientem Rzymu; i wedle podania niepoprzedni królowie, a szósty z porządku—Serwiusz staje się obrońcą ludu, jego orędownikiem przed gminą i prawa mu nadaje. Z tego powodu przytoczone zdanie Niebuhra jest jednostronne, jako do dziejów średniowiecznych odnieść się mogące, i ze średniowiecznego uspołecznienia zdjęte. Powiada on:—„Jakiekolwiek istniały stosunki pomiędzy królami rzymskimi a kommuną, to niezawodnie ta zawsze w nich znajdowała wsparcie przeciw oligarchii. Jeszcze i to niezawodna, iż królowie dobrze pojmowali znaczenie plebejuszów stopniowo wzrastające; wiedzieli o tém, że oni stanowią najdzielniejszą część ich wojska, i że w nich spoczywają nadzieje na przyszłość; w końcu i to dobrze wiedzieli, iż Rzym nie może stać się i pozostać wielkim, jeśliby prawa nie dozwalały i nie sprzyjały formacyi wielkiego narodu rzymskiego, złożonego z elementów wszystkich ludów Italii." *) Dzieje rozwijając się, zmieniają się; dla tego z góry można osądzić, że zbłądził autor, osadzając średniowieczny obraz w starożytne ramy, i że tym sposobem zlepił coś nakształt potworu, co to ma głowę lwa a ogon pawia. Jak bowiem może być nieruchomą forma, przy ciągłém rozwijaniu się treści i istoty europejskiego uspołecznienia?

Poprzednio nadmieniłem, że rex rzymski ma dwie strony, stoi na dwóch kończynach przepaści. Wszyscy do Serwiusza nie zdołali się wydzielić z własnego rodu, kuryi, tryby jak oni świętéj, teokratycznéj. Wedle podania, co i ustanowienie wieców centuryalnych stwierdza, Serwiusz chciał znaleść środek, czy nawet przejść na inny biegun, i to ma być powodem jego upadku. Podanie to jakkolwiek skażone przez plebs, maluje jednak wielką zmianę w ich położeniu.

Tarkwiniusz Pyszny nie występuje jako jednostka, nie jest to wdzierca i przywłaszczyciel; w niego, i w ród tarkwiniuszowy, wcielono dzieje piszących się do władzy Lucerów, którzy ani Etrusków, ani Sabinów nie cierpieli; i chcących powetować swoje dawne poniżenie. Tarkwiniusz nie wystąpił przeciw gminy. Nie jest on Konstantym W. Owszem nie ma śladu aby on ujmował plebejuszów; a sto-

*) T. I, str. 430 i 431.

sunki jego z Lacium podstępem napiętnowała historya. Przeto obraz polityki królów rzymskich przez Niebuhra skreślony, jest potworny i fałszywy. Fałsz ten jest tylko jednostronnością, przeniesieniem dziejów średniowiecznych, do wsobistego teokratycznego Rzymu. Między reges a królami średniowiecznemi istnieje wewnętrzna spojnia, tak jak między rzekami jedną a drugą:—król rzymski—rex—jest monarchą średniowiecznym, ale in potentia. (*D. c. n.*)

FIZJOLOGJA STRĘCZYCIELKI.

Czy znasz ty kochany czytelniku kantor stręczeń Guwernerów i Guwernantek? Czy byłeś kiedy w nim? lub czy go kiedy potrzebowałeś? Może szukałeś nauczyciela lub nauczycielki dla małéj siostry, lub brata—dla córki, lub znajomych?— O szczęśliwy czytelniku!—jeźli go znasz z pięknéj tylko strony.

Ja pragnę ci go przedstawić w prawdziwém świetle, okażę go jakim jest w istocie;—ale na to potrzeba pomocy twéj wyobraźni, twego pozwolenia i przeobleczenia się w jaką ja będę chciał szatę.

Przypuśćmy, że jesteś z Augustowskiego—syn rodziców dosyć dobrze się mających, to jest, twój ojciec ma znaczne dochody, choć nie wiele—prawie nic majątku.—Jest dajmy na to urzędnikiem, dzierżawcą wielkich dóbr i t. p.

Twój ojciec wié, że wychowanie jest pierwszém i niestraconém dobrem, dla tego ciebie najstarszego swego syna wychował jak najstaranniéj. Skończyłeś uniwersytet, i powróciłeś do domu *wcale dobrże* jak to mówią. Twoi bracia są to mali jeszcze chłopcy, ale już potrzebują nie tylko dozoru, ale i *kogoś* do siebie.

Twój ojciec znając twoją naukę—chcąc przytém nadać ci niejaką powagę, wysела cię do Warszawy iżbyś wyszukał nauczyciela dla młodszych braci. Napróżno się tłumaczysz, że Warszawy nie znasz, tam znajomych. — Ojciec twój dowodzi ci dość jasno, że człowiek w twoim wieku, może i powinien dać sobie wszędzie radę—i wyjeżdżasz z zupełną plenipotencyą wyszukania i przywiezienia nauczyciela.

Przyjechawszy do Warszawy, pierwszém staraniem twojém dowiadywać się o kantory stręczeń;—ale każdy odseła cię do kurjerka, który w podobne anonse obfituje. I rzeczywiście masz tylko trudność wyboru.—Widzisz całą kolumnę z girlandką, lub też napełnioną polecaniem się JW. publicznością z świeżym, najlepszym, różnopłciowym i różnego narodu towarem.

Wybierasz pierwsze lepsze nazwisko z góry lub dołu i wychodzisz. Na pierwszy wstęp, twoja mina oznaczająca pewność siebie,—twój strój dość wyszukany, przemawiają za tobą;—pani X. F. Z. poznaje bardzo dobrze (a stręczycielka każda jest bardzo przebiegłą), że jako kupujący, nie jako sprzedający się przychodzisz.

Jéj najmilszy uśmiech jest na twoje przywitanie i dla formy tylko prawie — pyta cię bardzo grzecznie czego potrzebujesz? Powiadasz w krótkości, czego i jak sobie życzysz.

Szczęściem prawdziwie pani X. F. Z. ma właśnie mnóstwo *sujets*, dla ciebie jakoby umyślnie stworzonych.

Wtenczas wyznaczają ci godziny, i zaczynają się prezentacye.

O czytelniku!—napatrzysz się wówczas różnych figur,—ale najczęściéj nadzieja twoja prędkiego wynalezienia czego szukasz, i opuszczenia Warszawy, nie tak prędko się spełni.

Ci przed chwilą, tak doskonali nauczyciele podług pani X. F. Z. pokazują się każdy w swoim rodzaju o wiele niekompletni—a co zabawniejszsza—i w końcu zaczyna cię uderzać—to: że po stanowczém odrzuceniu z twéj strony, którego indywidua, pani X. F. Z. powiada ci w zaufaniu, że dobrze wyszedłeś—nie biorąc pana K., ten albowiem —dodaje cicho— napija czasem, a pan Ł. który się panu tyle niepodobał, jest nadzwyczajnie niecierpliwym i gwałtownym... pan M. zaś, któremu dziś pan dobr. dałeś ostatecznie odmówną odpowiedź, jest prowadzenia nienajlepszego.

Ci trzéj panowie, jak wielu innych, byli przed parą dniami przedmiotem najzapaleńszych pochwał pani X. F. Z.

„Były to fenixy, rzadko trafiające się w uczonym świecie, szczęściem prawdziwie wolni wtedy, kiedy ty ich potrzebowałeś, i życzono ci, poprzyjaźni, uchwyciwszy tę rzadką zdobycz, uciekać z nią w Augustowskie, bo wiele konkurentów na nich czekało.”

„Twoja przyjemna powierzchowność wiele się do tego przyczyniać miała, wedle pani X. F. Z. Niejeden z tych panów dla tego tylko odmawiał daleko wyższego wynagrodzenia, bo wolał mieć w perspektywie, lube codzień z tobą towarzystwo—i czuł do ciebie od pierwszego widzenia szczególniejszy pociąg.”

I wiele innych a podobnie miłych rzeczy mówi ci pani X. F. Z.

Pomimo że poznajesz, iż w niejedném oszukuje, a w wielu rzeczach życzy sobie oszukać cię pani X. F. Z., jednak te miłe słówka

jakoś brzęczą nie źle koło twego ucha—i mówisz sobie: To jakaś poczciwa kobieta,—nie jéj wina jeźli jestem za trudny w wyborze.—Robi ona co może aby mi dogodzić...

Na początku jeszcze twéj z panią X. F. Z. znajomości, napomknęła ci ona z niechcenia coś o egzaminie i dyplomie, mówiąc zarazem, że do rzeczy tych nikt zapewne żadnéj nie przywięzuje wartości—i ty téż wcale nie patentem rozumnego, ale dogodnego sobie i braciom szukałeś człowieka.

Była to więc kwestya, któréj żadnemu z tych panów nie zadawałeś—i powiedzieć to muszę, że tak wszyscy robią.

Czasem stręczycielka chce już raz skończyć z tobą, daje naukę jakiemu nowemu *Sujet*, jeszcze tobie nieznanemu. Już wie czego i jak sobie życzysz podpowiedziawszy kilka odpowiedzi—zdaje jéj się, że sztuka tym razem ujdzie.

Jeżeliś trochę zachaczony, ale jeszcze się wachasz, następują *les grands moyens.* Nie dawszy ci się rozpatrzyć, zaczyna się mała komedja, którą odgrywasz ty, ona, nauczyciel i niewidomy za kulisami X. zapalony konkurent o twojego nauczyciela. Kończy się na tém, że chcąc ubiedz niewiadomego (a może nieznanego obu stronom) X. który gwałtem tego samego dnia wziął się skończyć interes, posyłasz grzeczny bilet do pani X. F. Z. z prośbą, aby zawiadomiła pana nauczyciela, jako przystajesz na podane ci warunki—i szczęśliwy, bo już dopiąłeś swego, wyruszasz w Augustowskie.

Ale czy długo będziesz zadowolony z tego, co tyle zachodów cię kosztowało? wątpię bardzo...

Nie myślcie, abym tu miał dowodzić, że tak trudno czyli niepodobna dostać u nas nauczyciela?.. Lecz zastanowiwszy się, że interesem stręczycielki jest ciągła zmiana, że na niéj opiera się niestały jéj dochód—zrozumiawszy, że ona robi co może, aby strony długo z siebie nie były zadowolone. Bo, powiedzcie mi, coby robiła stręczycielka, gdyby jedni nauczyciele zaczynali i kończyli wychowanie?

Jeżeli wie że jesteś zbyt łagodnym i pobłażającym dla dzieci, wybiera ci nauczyciela gwałtownego i niecierpliwego, który twą żonę do rozpaczy codzień przyprowadzać będzie.—Jeżeli jesteś żywy i lubisz podobnych sobie ludzi, da ci szlamazarnego Niemca lub Francuza, którego dzieci twoje za nic nie będą uważały.—Jeżeliś zupełnie oddany wychowaniu twéj małéj rodziny, da ci młodego człowieka lubiącego zabawy i t. p. i t. p.

Z tego wypada, że strony niedogodne sobie, a zatém niezadowolone, rozchodzą się w niedługim czasie, i wracają obiedwie do kantoru.

Wprawdzie stręczycielka nie ma w tych małych intrygach dobra ludzkości na celu, ale jednostki małéj wielkiego szczepu ludzkości.

Szkoda tylko, że ta miłość jednostek (jak ją stręczycielka rozumie), brzydko *samolubstwem* się nazywa.

2.

Przedstawiłem ci stręczycielkę w najpiękniejszéj barwie, w jéj stosunkach pośrednich z JW. publicznością—pozwolisz zmienić dekoracye.—I znów narzucę ci rolę, ale daleko—o! daleko smutniejszą od pierwszéj.

Wróciłeś do domu, może nawet bardzo zadowolony z nauczyciela.—Upłynęło pół roku.—Ojciec twój umarł. Daruj czytelniku jeżeli ci tak smutne robię przypuszczenie. Różnie idą losy nasze, a najczęściéj przeciw naszéj woli.—Jeżeli masz ojca, broń cię Boże abyś go stracił.—A choć nie żartuję z podobnym wypadkiem, potrzebny mi jest do fizjologii stręczycielki...

Idźmy więc daléj...

Ojciec twój umarł, a z nim runął majątek nasz oparty tylko na pracy jego i dochodach. Została ci matka, którą bardzo kochasz i dwóch małych braci. Fundusze wasze będą odtąd tak szczupłe, że niepodobna wam razem żyjąc, utrzymać się i wychować dzieci.—Myślisz długo, co z sobą robić?.. Na gospodarstwo nie masz pieniędzy.—Urzędnikiem wysokim odrazu być nie możesz, a tu trzebaby i matce dopomódz, i samemu się utrzymać, i dzieci wychować...

Ha! myślisz nareszcie, rozebrawszy wiele innych projektów, zostanę nauczycielem...

Utracę wprawdzie złotą wolność moją, dobro, które najwięcéj cenię—ale zato dopomogę matce—oddam jéj to, co tyle lat od niéj doznawałem...

Raz powziąwszy zamiar ten, jedziesz do Warszawy i udajesz się znów do kantoru.

Ale jakaż zmiana!

Nie jesteś już tém czém byłeś—przynajmniéj tak ci się zdaje—zmiana losu zmieniła wiele około ciebie, tak że już zacząłeś nie wierzyć ludziom i nie tyle co dawniéj ufać przyszłości. Jest tyle ludzi, którzy zawsze wam przypominają, że tylko majątek w nas cenią, że ktoś co nagłym wypadkiem utraci go, i bez przygotowania ujrzy wszystkie niemal odmienne koło siebie twarze, dozna jakby bolesnego odrętwienia, i długo, długo ogląda się, nim znów wierzyć lub kochać zacznie.

Przytém w zawodzie jaki się przed tobą otwierał, ty nie zauważałeś dotąd szlachetnéj, prawdziwie pięknéj strony kształcenia młodzieży.

Dla tego ci to mówię, bo chcę żeby każdy zrozumiał, że ty, młody człowiek, utraciwszy majątek a tém samém doznawszy zmiany w obej-

ściu się z sobą ludzi, smutnie zwiesiłeś głowę, pożegnałeś się niby z nadzieją, i zupełnie jak to mówią, *straciłeś fantazją*.

Pierwsza myśl twoja, przybywszy do Warszawy udać się do pani X. F. Z., którą przed 10 miesiącami poznałeś tak uprzejmą, tak miłą, szczególniéj dla ciebie tyle uprzedzającą.

Jednak że dziś jéj prawie potrzebujesz, czujesz przykrość twego położenia i odbja się to uczucie na twarzy twojéj.

Stręczycielka ledwie spojrzała—ona co tak domyślna, odgadła na pierwszy rzt oka, że ty jako *towar* do niéj przychodzisz.

Powiadasz twe nazwisko, lecz nie zdaje się aby ono miało co przypominać pani X. F. Z. Wspominasz nieśmiało o twéj pierwszéj tu bytności, lecz na to suchą odbierasz odpowiedź, że tyle osób widując, trudno wszystkich pamiętać. W ciągu téj krótkiéj rozmowy pani X. F. Z. która nim wyszła do ciebie jakimś trafem może, ale godzinę na ciebie czekać ci kazała, nie prosi cię siedzieć—przypuszczam, że pomimo *dekurażu* jaki cię napada, krew w tobie zawrzała, przysuwasz krzesełko i siadasz choć nieproszony.

W tych potém prawie słowach opowiadasz pani X. F. Z. na zapytanie dość oschle ci uczynione, a mówisz z zająknieniem i pomięszaniem, jak człowiek nieprzyzwyczajony nigdy, niczego, od nikogo żądać, a w głosie twym jest drżenie, a w twarzy widać mocną boleść...

Pani—wychowany byłem za granicą, i tutaj nikogo znajomego nie mam—los i nieszczęśliwe okoliczności znaglają mię dziś do przyjęcia obowiązku nauczyciela. Czy nie byłabyś pani tyle łaskawą, dopomódz mi w wyszukaniu jakiego miejsca?

Tu wyliczasz co umiesz.

Pani X F.Z. przypatruje ci się z uwagą przez jakiś czas, potém mówi:

Czy uczyłeś pan już kiedy kogo?

Nie pani, nigdy.

Czujesz, że mimowolnie rumieniec występuje ci na twarz, bo do téj biednéj szlachty wiejskiéj tak srogo *zmaltretowanéj* od pani X. F. Z. ty należałeś i należysz dotąd.

Pani X. F. Z. spogląda na ciebie z uśmiechem szyderskim i dodaje: „Któż za panem zaręczy?..

Jakto? pytasz zdziwiony.

Mój panie, nie mamy zwyczaju oddawać w dom obywatelski obcego zupełnie indywidua.—Ja nie znam pana zupełnie,—ręczyć za niego nikomu nie mogę.— Maszże pan tutaj jakiego znajomego, któryby to zrobił...

Niestety—powiedziałeś już na wstępie pani X. F. Z. że znajomych w Warszawie nie masz—powtarzasz jéj to znowu.

Ah mój panie, kiedy tak, to darmo czas trawię—i nie masz nikogo, coby za tobą zaręczył,—to lepiéj zmień zamiar i nie bądź Guwer-

nerem.—Z taką jak się zdaje niezależnością woli, vous ne vous en trouverez pas bien l'état de Gouverneur a besoin de beaucoup, beaucoup de patience et d'abnegation. Je ne vous le dis pas, pour que moi, jamais j'aie été a meme de le savois, non, Dieu merci, jamais je n'ai été Gouvernante,—ale wiem to od innych."

To mówiąc wstaje. Ty także się podnosisz i odchodzisz mówiąc: O zapewne pani, gdybym potrzebował tyle zaparcia siebie, żebym przekonanie moje poświęcić był przymuszony, a tyle cierpliwości ile jéj dzisiaj potrzebowałem, zapewne zmieniłbym zamiar.

„Voila aussi ce que je vous conseillé.

Odchodzisz, więcéj jeszcze z siebie, świata i ludzi niezadowolniony.

O zaprawdę, pierwszy pochwaliłbym panią X. F. Z., gdyby na *serjo* była tak nieskorą w oddawaniu w dom porządny—wiele czasem podejrzanego indywidua.

Ale za liczne mamy przykłady wprost przeciwnego postępowania, byśmy całą jéj z tobą rozmowę wziąść mieli i mogli za co innego jak za chęć wystawienia cię na *fryca* i okupienia drogo (dużo drożéj od taksy) jéj przeważnéj protekcyi.

Szczęściem nie zrozumiałeś tego, zmieszany wróciłeś do domu, przez kilka dni łamałeś sobie głowę, chcąc wyszukać innego dla siebie zatrudnienia.

Po kilku dniach, krew ostygła, i wziąłeś się napowrót do dzieła. Wyszukałeś inny kantor, i nauczyciel znany się trafił, który cię obznajomił z tajnemi myślami pań stręczycielek—bądź co bądź, byłeś lepiéj przyjęty.

Zostałeś wpisany w wielką księgę Guwernerów i Guwernantek—i zaczęto ci szukać miejsca.

O nieszczęśliwy czytelniku!... widzę już jak nadeszła dla ciebie smutna chwila pierwszego zaprezentowania się amatorowi.

Żaden niewolnik wystawiony na sprzedaż przez nielitościwego pana, żadna Czerkaska na targu Konstantynopolu, nie ucierpi tyle, nie tyle dozna wstydu, boleści i obawy, ile ty jéj w swéj pierwszéj prezentacyi doznałeś.

A stręczycielka, jak woźny wywołuje głośno imie twoje i nazwisko, wylicza przymioty, a w końcu cenę...

Rozbiera jedno po drugiém, co warta nauka twa, nie raz bolesném czuwaniem okupiona, co warta praca twa, pot twego czoła, część twojéj krwi...

Stręczycielka za ciebie odpowiada, zaręcza, obiecuje.—Zaledwie kilka pytań zadała ci w drodze, a opowiada amatorowi całe życie twoje jak z książki.—Pozwalasz jéj mówić, bo sam jesteś tak zmieszany, tak zdrażniony tém zupełnie nowém dla siebie położeniem, że biedaku, gdyby ona nawet pozwoliła, jeszcze nie wiedziałbyś co powiedzieć.

Ale stręczycielka! patrz jak ona szczęśliwa!—ona w swojém żywiole,—bo choć małe pole do popisywania się z talentem intrygi, ona jak wielki Jenerał, z małych rzeczy wielkie robić umie. A jeszcze jak gdyby dla pobudzenia jéj, ty coś się namyślasz... Dwie ona tu role odgrywa, a w każdéj mistrzowsko występuje.—Amatorowi doradza co ma żądać od ciebie, jak ma cię namawiać i skłonić do zgody, jedném słowem opisuje po przyjaźni twoją słabą stronę; tobie zaś nie przyzwyczajonemu do targu, szepcze ciągle: Tenez ferme qu'ils payent, qu'ils payent! Prawdę mówiąc, jéj najwięcéj o to chodzi, byś wysokie pobierał wynagrodzenie, bo zazwyczaj stosunkowo do tegoż jest jéj benefis.

Otóż—stręczycielka dopięła swego—zgodziliście się z amatorem.

Biedny czytelniku, już odtąd nienależysz do siebie—twój czas należy do tych, którzy go zakupili—twoja myśl powinna przebiegać tylko najlepsze systema pedagogiki—twe słowa,—oj życzę, czuwaj nad niemi, bo one stają się przykładem.

Toby powinna ci rzec przy rozstaniu stręczycielka, ale ona ściska cię za rękę, jakoby „do widzenia”, kłania pięknie amatorowi, życzy wam wszelkiéj pomyślności, wzajemnego porozumienia się i t. d., a w duchu myśli sobie: Bodajście obydwa jutro do mnie wrócić musieli!

Może późniéj dam ci fizjologią Nauczyciela vulgo Guwernera, jak to on, po tych kłopotach pierwszego wejścia na drogę *Unterrichtu* czyli *naukodawstwo*,—jak to on bywa przyjęty i widziany różnie,—jak późniéj miejsca zmienia, i już ani kantory, ani przedstawienia, ani zmiana nic go nie kosztuje, ale to, jeśli zrobię, to już pod mojém prędzéj, jak pod twojém nazwiskiem. Bo teraz ci to wyznać muszę... Niestety—czytelniku—jest to moja nie twoja historja!..

NOWINY.

F. X. Giżycki wydał we Lwowie dwa dzieła: Wiadomość historyczną o krajach połączonych z Polską i jéj lennościach,—i Treść dziejów kościoła i wykaz zbiorowy prawodawstwa. Oba u Jabłońskiego wyszły.

— F. Sobieszczański, drukuje w Warszawie II^{gi} tom wiadomości o sztukach Pięknych w Polsce.

J. Łukaszewicz, odwiedzał Warszawę, w celu uzupełnienia swych zasobów do Dziejów szkół w Polsce aż dońca prawie XVIII stulecia.